

AL A I N E P O L C Z

KOBIETA  
NA FRONCIE

Z E W S T Ę P E M  
O K S A N Y Z A B U Ź K O

P R Z E Ł O Ź Y Ł A  
K A R O L I N A W I Ł A M O W S K A

M A R G I N E S Y

*Asszony a fronton*

COPYRIGHT © Polcz Alaine, 1991

COPYRIGHT © Polcz Alaine jogutódja, 2017

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Karolina Wilamowska

COPYRIGHT © FOR THE PREFACE Oksana Zabuzhko

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION OF THE PREFACE

Katarzyna Kotyńska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2023

Published by arrangement with The Sárközy & Co. Literary Agency  
and Beata Stasińska Literary Agency

## PODRÓŻ POŚLUBNA

27 marca 1944 roku (w czwartym roku wojny) w zborze na ulicy Farkasa w Koloszwarze János i ja wzięliśmy ślub.

Znasz ten pięćsetletni, masywny gotycki zbór o purytańskim wnętrzu? Przyjęłam tam sakrament bierzowania i recytowałam na ważniejszych uroczystościach. Byłam też uczennicą położonego tuż obok Kalwińskiego Gimnazjum dla Dziewcząt.

Ślubu udzielał nam biskup. Mój katecheta János Székely zjawił się w todze, byli także mój ojciec chrzestny Ferenc Deák, pastor z Hidelve, koleżanki z klasy ubrane w mundurki i stojące w rzędzie jedna obok drugiej, a nawet nauczyciele.

Przed ślubem żartowali sobie, że przysięgę małżeńską będę musiała składać po łacinie, a na ślub przyjdzie nasza łacinniczka Erzsike Kovács. I rzeczywiście przyszła, przy składaniu życzeń objęła mnie serdecznie i szepnęła mi do ucha: „Teraz możemy mówić sobie po imieniu”.

To moje miłe wspomnienia ze ślubu.

Poza tym: strasznie dużo ludzi. Nie wiedziałam, jak pomieścić w dłoniach suknię, welon, bukiet, jednocześnie idąc pod ramię z narzeczoną. Żeby zrobić choć jeden krok, musiałam unosić suknię i welon, bo czepiały się maty kokosowej i ciągnęły mnie do tyłu. W drodze do zboru drużba Jánosa bezwstydnie przystawiał się do mnie w samochodzie, nie do końca go rozumiałam, gdy mówił: „Pierwszej nocy odpuście, dzieci, będziecie tacy zmęczeni, wszystko sobie zepsujecie”.

Biskup przemawiał niemiłosiernie długo, nie mogłam się skupić, ślaniałam się na nogach z wyczerpania, co chwilę oślepiała mnie magnezja rozbłyskująca w rękę fotografa, przez co mimowolnie się marszczyłam.

János, znudzony, przestępował z nogi na nogę (biskup to zauważył, a mnie zrobiło się wstyd). Nareszcie koniec. Czekałam, by János skierował do mnie jakieś słowo czy gest, ale nie spojrzął na mnie ani razu. Ogarnęło mnie jakieś wewnętrzne znużenie, nawet nie pamiętam, czy w drodze powrotnej ze sobą rozmawialiśmy, ale Bogiem a prawdą, oboje byliśmy odrętwiali, ledwie udało nam się przecisnąć przez tłum do samochodu.

Potem kolacja weselna. Jako państwo młodzi siedzieliśmy u szczytu. Kiedy goście jedli z porcelany, nam podawano na srebrnej zastawie. Kiedy tamci jedli ze srebrnej, nam podawano na złotej. Każdy półmisek przynosili mnie, żebym najpierw nałożyła mężowi, a potem sobie (w następnej kolejności podchodzili do biskupa i mamy). Gdy

nabierałam jedzenie na swój talerz, Erzsi, nasza seklerska\* służąca, która zaręczyła się w tym samym czasie co ja i która razem ze mną czekała na listy z frontu, dopóki jej narzeczony nie zginął, sapnęła z poczerwieniałą twarzą: „Proszę brać mniej!”. A po chwili już ze złością: „Wielmożna pani też mówi, żeby tyle nie jeść”. Dopiero wtedy pojęłam, że mnie teraz nie wypada dużo jeść. Żałuję, że nie zapytałam ich dłaczego.

Przy mniejszym stole moi starsi bracia i siostra, koledzy i przyjaciółki bawili się przednio. Przy głównym panowała śmiertelna nuda, ale mama nie pozwoliła, żebym usiadła z młodymi. Miałam wrażenie, że pozostali goście z naszego stołu męczą się razem ze mną.

A może oni czuli się tam dobrze? Nie wiem.

Od rana zasypywały nas telegramy, kwiaty i prezenty. Tata sprawował wówczas funkcję prokuratora okręgowego i zanosilo się na to, że zostanie nadżupanem komitatu, więc każdy próbował mu się przypodobać, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach.

Nie znoszę siedzieć z pełnym żołądkiem. Wreszcie, całą wieczność później, wstaliśmy od stołu. Czarna kawa postawiła mnie na nogi i mogłam dołączyć do swojego

\* Seklerzy – węgierska grupa etniczna o bogatej, unikatowej kulturze zamieszkująca tereny we wschodnim Siedmiogrodzie (dzisiaj w Rumunii). Seklerzy słyną z twardego charakteru i cierpkiego humoru [przyp. tłum.].

towarzystwa, znalazłam też swoją kotkę, z którą żał mi było się rozstawać, ale János nie zgodził się, żebym zabrała ją do nowego mieszkania.

Chciałam pójść na studia i zostać lekarzem, ale na to János też nie pozwolił. Kochałam go, więc się z tym pogodziłam. Miałam czternaście lat, kiedy się poznaliśmy, był moją pierwszą miłością, pierwszym, który mnie pocałował. Prosił, żebym nauczyła się pisać na maszynie i przepisywała jego rękopisy. Skończył ekonomię, ale chciał zostać pisarzem. Na cztery lata trafił jednak na front, a przez ten czas ja skończyłam gimnazjum i zdałam maturę. Nauczyłam się pisać na maszynie, ale bardzo tego nie lubiłam, zawsze ogarniał mnie jakiś lęk, kiedy ćwiczyłam pisaże na dziesięć palców bez patrzenia na klawiaturę.

Akurat zaczęłam się lepiej bawić, kiedy poprowadzono mnie do mojego panińskiego pokoju. Tam János zdjął mi welon i wianek, podał je mamie, dziękując przy tym za mnie, za kolację albo za cały ślub. Mama powierzyła mnie jego opiece, poprosiła, żeby o mnie dbał, i potem wyszliśmy. Dopiero po latach dowiedziałam się, że ledwie zniknęliśmy w drzwiach, mama wybuchła płaczem, którego nie mogła opanować, źle się poczuła i nie wróciła już do gości.

Nasze mieszkanie znajdowało się po drugiej stronie wąskiej, brukowanej, biegnącej pod górkę uliczki, na wysokim parterze willi. Czy chciałam, żeby przeniósł mnie

przez próg? A może to zrobił – tylko ja tego nie pamiętam? Jak weszliśmy, co mówił, czy mnie rozebrał, czy rozebrałam się sama? Niczego nie potrafię sobie przypomnieć. Najzwyczajniej w świecie nie mam żadnych wspomnień z nocy poślubnej. (Jeśli wierzyć Freudowi, muszę mieć ku temu powody). W pamięć zapadł mi tylko jeden drobiazg. W nocy albo już nad ranem János przylgnął do mnie, obejmując zgiętą w kolanie nogą. I to było bardzo miłe. Każdy zna ten ruch, w ten sposób dzieci tulą się do matek.

Dzisiaj nie mam żadnych oporów, żeby rozmawiać o seksie. O tym, co się wydarzyło, mogłabym opowiedzieć językiem medycyny lub psychologii, mogłabym ironicznie, frywolnie albo nawet żartobliwie – ale nie mam o czym mówić. Bolało. Bolało mnie przez wiele dni, nawet kiedy siedziałam.

Byłam śpiąca i zmęczona. Rano dziwiłam się, jak mogłam nie wpaść na to wcześniej, że trzeba rozłożyć nogi. Teraz wiem, że bynajmniej nie „trzeba”, tylko tak się przyjęło, ale wtedy sądziłam, że to, czego nauczyłam się tej nocy, jest takie, jak być powinno, i nie ma innych możliwości.

Wygląda na to, że w tym czasie dopisywał mi apetyt, bo zaraz po przebudzeniu poczułam głód, włożyłam piękny, sięgający ziemi peniuar, który dostałam właśnie na tę okazję, i pobiegłam do domu po jedzenie. Tam przywitało mnie wielkie zdziwienie: „Po co przyszłaś do domu? Wracaj szybko, Erzsi zaraz przyniesie śniadanie”.

Musieliśmy się spieszyć, żeby zarejestrować moje nowe nazwisko, a potem złapać ekspres do Budapesztu. János nie czekał, aż się ubiorę, wyszedł wcześniej.

Kiedy usiadłam w wannie, niespodziewanie zadziałał prysznic i zmoczył mi włosy. W drodze do miasta wpadłam jeszcze do domu, żeby się pożegnać. Znowu spotkałam się z konsternacją. Wygląda na to, że w takiej sytuacji należy wstydliwie się wymknąć, a ja najwyraźniej nie miałam dość wycucia lub Bóg wie czego. Zbesztali mnie też za mokre włosy.

W autobusie nie mogłam kupić biletu, bo moja portmonetka świeciła pustkami. (Na podróż poślubną dostałam w prezencie „na drobne wydatki” tysiąc pengő, ale nie chciałam ich ruszać, w ramach niespodzianki całość podarowałam Jánosowi, przez co kilka dni byłam bez grosza przy duszy, a wstydziłam się prosić rodziców o pieniądze).

Sprawa z biletem wprowadziła mnie w zakłopotanie, ale konduktor powiedział z uśmiechem, że bym przyjęła go w prezencie, słyszał, że wczoraj miałam ślub. Ucieszyłam się. Ale ledwie wysiadłam z autobusu, János zaczął mnie strofować.

Był zły z powodu moich włosów, walizek i jeszcze czegoś, już nie pamiętam czego. Pociemniały mu szarozielone oczy i w ogóle cała twarz, którą ze względu na silny zarost, nawet świeżo po goleniu, pokrywał zawsze błękitny cień.

Jechaliśmy pierwszą klasą – i to do wspaniałego, dalekiego Budapesztu! (Zabawne, prawda? Ale nie wiesz, czym



dla Koloszwaru były Węgry i Budapeszt. Choć może trochę się już domyślasz). Podróży nie pamiętam. W Budapeszcie, nie wiem, na którym dworcu, stałam pomiędzy torami i nagle serce ścisnął mi ból, zwyczajny fizyczny ból, tak bardzo było mi smutno.

Wtedy podszedł druhba, który zalecał się do mnie w samochodzie, i powiedział, że pięknie wyglądam w tej podróżynej garsonce, wręcz do schrupania, wiedział, że podróżujemy jednym pociągami, ale nie chciał nam p r z e s z k a d z a ć. Potem robił jakieś aluzje i dalej prawil mi komplementy.

Carlton, apartament z widokiem na Dunaj. Pierwszy raz w życiu spałam w hotelu. Kiedy jedliśmy w pokoju, wtaczano stolik na kółkach, przez cały posiłek stał przy nas kelner i zmieniał przed nami talerze. Osobno był salon, osobno sypialnia. Więcej wspomnień nie mam.

Dziwiłam się, że tak mało mnie to wszystko cieszy.

Co noc alarm bombowy. Raz cały budynek zatrząsnął się w posadach. Jeden z pocisków rozłupał Ritza na dwoje. Zresztą Carlton też ostatecznie nie ocalał. Zrównano z ziemią cały rząd hoteli.

Chodziliśmy po mieście. Czasem János zostawiał mnie samą. Mówił, że ma spotkanie. Nie dziwiłam się, chociaż byliśmy przecież w podróży poślubnej. Włóczyłam się po nabrzeżu albo spałam. Najchętniej nie wstawałabym z łóżka, ciągle byłam potwornie zmęczona i śpiąca. Z tego wnioskuję, że noce spędzaliśmy razem, do tego dochodziły conocne alarmy.

Po pobycie w Budapeszcie pojechaliśmy do Csákváru, Majka i Egeru. (Dziesięć lat później zatrzymaliśmy się z Miklósem w tym samym pokoju).

W Egerze posprzeczałyśmy się i János zostawił mnie na środku ulicy. Tego dnia dowiedziałam się, że ofiarował pięćset pengő kolegium, w którym kiedyś się uczył. Zabolalo mnie, że mi o tym nie powiedział. Przecieżbym się ucieszyła. Dopiero z rozmowy z uczącym tam księdzem dowiedziałam się, że przekazał im pieniądze. Z tego tysiąca, który dostał ode mnie (co wówczas równało się półrocznym zarobkom).

Poza tym z Egeru pamiętam tylko samo miasto. W drodze powrotnej zamierzaliśmy zatrzymać się jeszcze w Budapeszcie, ale z gazet dowiedzieliśmy się, że zakładają getta. Nie mogliśmy w to uwierzyć. Myśleliśmy, że nawet jeśli robią to tutaj, to na pewno nie zrobią tego w Siedmiogrodzie, to niemożliwe. Mimo to od razu ruszyliśmy w drogę powrotną.

W całej willi byliśmy jedynymi chrześcijanami. Pozostali lokatorzy, nasi serdeczni przyjaciele, w czasie wielkiego głodu mieszkaniowego oddali nam do dyspozycji parter i zaszyli się na piętrze, ponieważ się bali. My służyliśmy im jako zasłona, oni pomogli Jánosowi, który pracował wówczas w piśmie „Erdélyi Helikon”\*, w znalezieniu

\* „Erdélyi Helikon” – miesięcznik literacki ukazujący się od maja 1928 do września 1944 roku w Koloszwazie [przyp. tłum.].

dotatkowego zajęcia i źródła dochodów. Zresztą nawet tę posadę zawdzięczał naszym – a raczej moim – żydowskiemu przyjacielom. Żona Laciego Kovácsa\*, mądra i energiczna Sulika, która w zasadzie prowadziła „Helikon” i wydawnictwo Szépmíves Céh\*\*, też była Żydówką. Ze względu na to wszystko postanowiliśmy czym prędzej wracać do Koloszwaru.

Niemiecka okupacja. Kiedy wieczorem w drodze do domu przecięłam promenadę, pod aleją stuletnich dzikich kasztanowców stały niemieckie czołgi gotowe do strzału. Obok nich żołnierze. Milczący i nieruchomi, spowici w mrok przez liście drzew i zaciemnienie. Tylko ich papierosy żarzyły się w ciemności. Niemal słyszałam ich oddechy... Idąca po ciemku samotna kobieta i obserwujący ją zastygli w milczeniu żołnierze. Bałam się, ale nie o siebie, to nie ja znajdowałam się w niebezpieczeństwie. Panowała dziwna cisza, przez całą długą drogę żadnego piśnięcia, żadnego ruchu. Do dziś prześladuje mnie ten obraz. W t e d y zaczęłam się bać niemieckich żołnierzy.

Wszędzie chaos i groza.

\* László Kovács (1892–1963) – siedmiogrodzki pisarz, krytyk i redaktor [przyp. tłum.].

\*\* Szépmíves Céh (dokładnie Erdélyi Szépmíves Céh) – siedmiogrodzkie wydawnictwo funkcjonujące w latach 1924–1944 wskrzeszone w 1990 roku, ostatecznie zakończyło działalność w 1995 roku [przyp. tłum.].

Już kiedy się pobieraliśmy, noszenie żółtych gwiazd było obowiązkowe. Moja przyjaciółka Böske Horváth nie przyszła na ślub, powiedziała, że nie wejdzie do zboru, z powodu czego bezmyślnie robiłam jej wyrzuty, mówiąc, że ja przecież z własnej woli wybrałam się z nią do synagogi. Margitka, dziewczyna, w której kochał się mój brat, też się nie pojawiła, ale wówczas mnie to nie zdziwiło, ponieważ dotąd spotykałyśmy się tylko poza domem. Ferkó Dőry na wieść o tym, że ma nosić żółtą gwiazdę, dostał spazmów i zadekował się w domu. Pista Kovács przywiózł go, ubranego w marynarkę, taksówką i zagroził, że złośliwie skórze temu, kto odważy się ich wylegitymować. Wszystko to odcisnęło piętno na pierwszych dniach naszego małżeństwa i z tymi wspomnieniami spieszyliśmy do domu z Budapesztu.

Dzień po naszym przyjeździe zgarnęli z ulicy Imrego Kádára\* i jego żonę. János pobiegł do szkoły po ich córkę Annę i przyprowadził do Suliki. Później ukryli ją na wsi. Ocalała. W tym czasie Jánoska, ich syn, przybiegł do domu i szukał u nas Anny, daremnie go powstrzymywałam – wyszedł. On się nie uratował.

Z tych dni pamiętam tylko to, jak z mieszkającymi w willi Sebőkami czekaliśmy, kiedy ich zabiorą. Koszmar. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby ich syn

\* Imre Kádár (1894–1972) – węgierski pisarz z Siedmiogrodu [przypisy – o ile nie wskazano inaczej – pochodzą od autorki].

Péter mógł zaciągnąć się do służby pomocniczej\*. Na gwałt, w ciągu kilku godzin musieliśmy skompletować mu rynsztunek, moja siostra Irénke wręcz ściągnęła swojemu konkurentowi czapkę z głowy, za co nieszczęśnik trafił potem do aresztu. Do dziś mnie to zdumiewa, bo była jedyną antysemitką w rodzinie. Buty – nieco dla niego przyduże – Péter dostał od mojego brata Egon, po wojnie zwrócił mu je z podziękowaniami.

Ganialiśmy z walizkami, ciepłą odzieżą, lekami, fałszywymi dokumentami i zaświadczeniami lekarskimi. Kilka osób udało się ukryć w szpitalu psychiatrycznym. To pochłaniało wszystkich w tym czasie.

János zachowywał się wspaniale. Nie względem mnie, ale pozostałych. Pomagał bez słowa, niczego się nie bał, nie oczekiwał wdzięczności. Poza tym milczał. O wielu rzeczach nawet ja nie wiedziałam.

Nocami gestapo przychodziło po ważniejszych, bogatszych Żydów. Egon pracował w ratuszu, skąd Niemcy brali samochód. Dzięki temu wiedzieliśmy zawczasu o planowanym najściu. Dawałam znać Böske Horváth, ona słała wieść dalej, i wówczas dana rodzina nie spała w domu.

\* Służba pomocnicza – oddziały wojskowe złożone z węgierskich Żydów oddelegowywane do kopania szańców, prac fortyfikacyjnych i innych ciężkich robót fizycznych na froncie [przyp. tłum.].

Böske oddała nam na przechowanie biżuterię i inne cenne przedmioty.

Ferkó Dóryego udało się uratować, został żołnierzem. Margitkę, ukochaną Egona, wywieźli. Wozem na śmieci.

Zbliżali się do naszej ulicy. Sebők, jego żona, stara matka, János i ja rozmawialiśmy do późnej nocy, dopóki nie doszliśmy do wniosku, że dziś już nie przyjadą, można kłaść się spać.

Żona Sebőka przytaszczyła do nas swoje rzeczy. Staruszka dostała apopleksji, miała sparaliżowane pół ciała. Trzeba szybko załatwić papiery, może uda się ją uratować przed obozem. Siedziałam przy niej i pocieszałam, że jej nie zabiorą, że trafi do szpitala. Jeśli pobiegłam na targ, płakała i krzyczała, żeby mnie sprowadzić, bo tylko mnie wierzy, że jej nie wywiozą.

Trzy dni później zabrali wszystkich mieszkańców willi. Zganiali ich po schodach. Było tam jakieś dziecko, wyło rozpaczliwie, stłukła się butelka i mleko rozlało się po klatce schodowej, rzuciłam się, żeby im pomóc. Żandarm zaczął krzyczeć, czemu się z takimi zadaję, i pchnął mnie z powrotem do przedpokoju. Magda, żona Sebőka, uśmiechnęła się i pomachała mi ręką. Żandarm zatrasnął za mną drzwi, stałam przy ścianie, słyszałam chrapliwy oddech staruszki i błagania syna: „Proszę jej nie pospieszać, biedaczka jest po udarze...”. „Bagnet zaraz doda jej animuszu”. Wtedy János złapał mnie za nadgarstek, pociągnął

w głąb mieszkania i zamknął w pokoju. To był najbardziej litościwy gest z jego strony przez łączne siedem lat naszego małżeństwa.

Zostaliśmy w willi sami. Rodzice wyjechali na lato. János całe dnie spędzał w mieście. Ja sprzątałam, gotowałam i czekałam na niego.

Nienawidziłam domu. Zamkniętych mieszkań. Piwnicy. W czasie alarmów nigdy do niej nie schodziłam. Zgodnie z zaleceniami otwierałam wszystkie okna. Potem siadałam za biurkiem, które stało pod jednym z nich, w rogu pokoju. Wpatrywałam się w stojący naprzeciwko dom rodziców. Często przychodziła do mnie moja kotka. Pewnego razu natknął się na nią János, złapał ją i wyrzucił przez okno. Mieszkaliśmy na parterze, więc spadła między różane krzewy. Zaczęłam płakać i krzyczeć. Od tej pory przychodziła tylko wtedy, gdy widziała, że Jánosa nie ma w domu.

Tymczasem życie toczyło się dalej. Dostałam mnóstwo pięknych strojów. Nigdy tyle nie miałam. (W dzieciństwie i w latach panieńskich chodziłam w używanych, kiepsko przerobionych ubraniach). Towarzystwo, teatr, codzienna krzątania.

János przyniósł do domu pięknego wilczura, którego szybko pokochałam. Potem ukradli go Niemcy. Wiłam sobie gniazdko niczym ptasia mama. Márta Prámer\*, ta

\* Ciesząca się dobrą renomą laryngolożka, partnerka mojego starszego brata.

zimna kobieta, powiedziała mi pod koniec wojny: „Wiesz, czego najbardziej mi żal? Tego, że zniszczyli też twój cudowny dom”.

W jednym pokoju mieszkał János. Masa książek, biedermeierowskie salonowe meble, biurko, kozetka i antyczna szafa. Mój pokój z oknem w rogu był przytulny i harmonijnie urządzony antykami, które gromadziłam pojedynczo z wielką dbałością (do dziś nie wiem, skąd wzięły się u mnie to wysmakowanie i energia). Niewielka nowoczesna jadalnia wychodziła na bardzo miły i przydatny, ukwiecony balkon. Kuchnia – prawdziwa małowia-steczkowa kuchnia z wyszorowaną do czysta posadzką i lśniącym piecem – była dla mnie źródłem dumy i radości. Robiłam przetwory i wydawałam kolacje, odświętnie nakrywałam stół, dobrze gotowałam i zgodnie z życzeniem Jánosa starałam się modnie ubierać.

W jednym tylko mu nie uległam – chciał, żebym się malowała, a ja tego nie umiałam. (Tak to już jest. Dzisiaj kobiety rodzą się z tą wiedzą, my zdobywałyśmy ją w pocie czoła). Zresztą to byłoby głupstwo z mojej strony, miałam dziewiętnaście lat\*, policzki jak „róże”, czerwone

\* Autorka urodziła się już po podpisaniu traktatu w Trianon, który przyznał Siedmiogród Rumunii. Jej ojciec, który był gnębiony przez rumuńskie władze, opierał się tamtejszej administracji i nie zarejestrował w urzędzie narodzin córki. Oficjalnie za rok jej narodzin przyjęto 1922 rok, jej samej jednak



usta i faliste z natury włosy, nawet do fryzjera chodziłam rzadko.

Nie przypominam sobie, żebyśmy prowadzili intelektualne dyskusje. Nie lubił, gdy mówiłam o swoich uczuciach. Był bardzo milczący i surowy. Cechowały go jakiś dziwny chłód i beznamiętność. Z trudem nawiązywał relacje. Nie miał najmniejszych złudzeń – po trzech i pół roku spędzonych na froncie dobrze wiedział, a wręcz z pewnym cynizmem na to czekał, że w końcu przyjdą Rosjanie i przegramy wojnę; o sowieckim rajy też wiedział co nieco.

Chciał pisać, ale pisał mało i rzadko. Nigdy niczego nie skończył. I pił. Sporo i regularnie. Nie dawał tego po sobie poznać, nigdy nie widziałam go pijanego, a nawet wstawionego – rzadko. Kilka razy dziennie wypijał kieliszek lub dwa czegoś mocniejszego, na przemian z winem i szprycerami. Po badaniu lekarz oświadczył, że János cierpi na przewlekłą chorobę wątroby i musi natychmiast rzucić picie, bo inaczej wykończy się w przeciągu dziesięciu lat\*. János w ogóle się tym nie przejął i nie podjął leczenia.

Kłóciliśmy się o to zawzięcie. Nie działały moje błagania ani uczuciowe, logiczne czy medyczne argumenty,

bardziej prawdopodobny wydaje się rok 1924, dlatego w tym fragmencie pisze ona, że miała dziewiętnaście lat, chociaż zgodnie z przyjętą datą urodzenia skończyła wówczas dwa-dziesiąt jeden lat [przyp. tłum.].

\* Tak się zresztą stało.

wzruszał ramionami i pił dalej. Zmieniłam taktykę. Ilekroć nalewał sobie kieliszek, ja nalewałam sobie dwa. Wcześniej picie przychodziło mi lekko i sprawiało przyjemność, a trunki szybko uderzały mi do głowy. Teraz często byłam pijana, podupałam na zdrowiu, znienawidziłam smak wina.

Na chwilę przyhamował, potem zaczął z powrotem, stan jego wątroby znów się pogorszył. Wpadłam w czarną rozpacz. Zagrałam swoją ostatnią kartą – gdy tylko sięgał po alkohol, od razu upijałam się do nieprzytomności.

Pewnego razu szliśmy akurat na proszoną kolację, gdy w mieście bez słowa wstąpił do knajpy. Nawet nie próbowałam protestować, jedyne, co osiągałam swoimi błaganiami, to nieznośne, trwające wiele dni napięcie. Zamówił setkę dla siebie i piwo dla mnie. Nie skorygowałam zamówienia, nienawidził scen – przed kelnerem czy kimkolwiek innym. Mnie było wszystko jedno, ale wiedziałam o tym i milczałam. Po chwili wstałam. Przytrzymał moją torebkę. Ale nie dbałam o to, okrężną drogą podeszłam do kontuaru i poprosiłam o cztery setki koniaku. Z pewnym zdziwieniem zapytali: „Jak?”. „W szklance” – odpowiedziałam uprzejmie. Piłam równymi, niewielkimi łykami (do dziś na zapach koniaku dreszcz przebiega mi po plecach). „Mąż zapłaci” – powiedziałam lekko i spokojnie, po czym wróciłam do stolika. Nie wiem, ile to dla innych, ale dla mnie cztery setki koniaku przed kolacją to było bardzo dużo. Trzymałam fason, dopóki alkohol nie zwałił mnie

z nóg. Co już samo w sobie zakrawało na skandal, a mnie na dodatek serce lub inny organ odmówiły posłuszeństwa. Lekarz, zastrzyki, nerwy.

Kiedy leżałam z posiniałymi ustami i paznokciami, oblana zimnym potem, János musiał przeżyć wstrząs, bo tulił mnie i całował. Rzucił też picie. A może podejrzewał, że tak długo będę uparcie to powtarzać, aż w końcu dojdzie do jakiegoś nieszczęścia? Nie wiem dlaczego, ale przestał pić. Zgodził się nawet na dietę.

Czasem bawiliśmy się w podchody. Lubił mnie podglądać, kiedy się kąpałam, ubierałam bądź rozbierałam. Wznosiłam barykady, on podkradał klucz, żebym nie mogła zamknąć drzwi. Niemałą przyjemność czerpałam z tych harców i ceregieli, w gruncie rzeczy bowiem wstydziałam się przed nim rozebrać.

Snuliśmy plany. János dostał „Pásztortűz”<sup>\*</sup> pod opiekę. Chcieliśmy zrobić z niego poważne czasopismo. Zabrałam się entuzjastycznie do pracy, pomagałam mu we wszystkim. Wyprosiłam u taty stary gabinet, pomalowałam go i urządziłam w nim redakcję. Mimo że wcześniej byłam w szpitalu, a potem wycięto mi migdałki, żeby serce lepiej radziło sobie z przeciążeniem tarczycy. Ale tabliczka na drzwiach: „Redakcja ilustrowanego miesięcznika

\* „Pásztortűz” – ukazujące się w latach 1921–1944 koloszwarskie czasopismo poświęcone literaturze, tematyce społeczno-politycznej i sztuce [przyp. tłum.].

«Pásztortűz»” dodawała mi niespożytych wręcz sił. Bardzo się z tego cieszyłam.

Myślę, że nawet jeśli chętnie kładłam się z nim do łóżka, z trudem, z oporami poddawałam się jego pieszczotom. Nie wiem, czy widział to po mnie. Nigdy nie unikałam zbliżeń. Najlepiej było wtedy, gdy nie czułam nic, wtedy zachowywałam spokój. Ale jeśli ulegałam namiętności, po kilku minutach pozostawałam z napiętymi do granic możliwości nerwami, krwią pulsującą w skroniach i łomoczącym sercem, podczas gdy on odwracał się do mnie plecami i zasypiał... Gniewał się, kiedy budziłam go swoim wierceniem, a tylko wtedy potrafiłam uleżeć nieruchomo, gdy całe ciało wprawiałam w toniczne napięcie. Kiedy nie potrafiłam go już dłużej utrzymać, rozluźniałam mięśnie. I tak raz za razem. Dlatego bałam się oddać mu w pełni, bo ilekroć zostawiał mnie niezaspokojoną, było mi bardzo źle.

Mieliśmy środek lata, kiedy Szépmíves Céh wysłało Jánosa na targi książki w Budapeszcie jako pełnomocnika i przedstawiciela wydawnictwa. Nie chciał wziąć mnie ze sobą, a tak bardzo o tym marzyłam, poza tym bałam się puścić go samego ze względu na tamtejsze bombardowania. Raz byłam akurat w „Helikonie” i podczas rozmowy z Suliką usłyszałam, że jej mąż Laci Kovács nigdy nie jeździ na targi bez niej. Co więcej, okazało się, że zapłacą za mój hotel, bo przecież będę sprzedawać książki na stoisku. Byliśmy

małżeństwem zaledwie od trzech miesięcy i zrobiło mi się przykro, że nie chce mnie zabrać, ale wierzyłam, że ma ku temu powody, o których nie chce mówić.

Potem zaproponował, żebym przyjechała z tatą dwa dni później, bo teraz już nie zdąży kupić mi biletu w wagonie sypialnym. Wstydziłam się powiedzieć o tym pomysśle w domu, czułam się upokorzona, że ja, młoda mężatka, zamiast z mężem mam jechać z ojcem. Odpowiedziałam, że znacznie prościej będzie, jeśli do Budapesztu pojedę w towarzystwie Pisty Kovácsa, który chętnie dopasuje do mnie dzień swojego wyjazdu. Znałam się z Pistą Kovácssem od czasów panieńskich, łączyła nas serdeczna, radosna i koleżeńska relacja, był otwarty wobec mnie i całego świata. Nigdy nie zarzucał mnie swoją miłością, zresztą ta szybko mu przeszła – po Irénke zakochał się w Ricuce, z którą zresztą później się ożenił. Darzyłam go dozgonną przyjaźnią. Od razu znalazł się bilet na pociąg. Nie potrafiłam jednak zapomnieć o całej sprawie.

Na stoisku w Budapeszcie toczyło się światowe życie. Byłam ulubienicą wszystkich. Nyírő\*, z którego córką chodziłam do jednej klasy, opowiadał, jakie głupstwa szeptałyśmy do siebie na maturze\*\*. Ja z kolei zdradziłam

\* József Nyírő (1889–1953) – siedmiogrodzki powieściopisarz i autor opowiadań [przyp. tłum.].

\*\* Ildikó Nyírő była na liście tuż przede mną i zdawałyśmy ustny egzamin w tym samym czasie.

Istvánowi Nagyiowi\*, że podkochiwała się w nim cała nasza klasa. Potem przyszli oczywiście Áron Tamási, János Kemény i stary Miklós Bánffy\*\* ze swoją zachwycającą głową i wytwornymi manierami (później Egon pomógł mu przenieść się z Siedmiogrodu na Węgry, gdzie Bánffy wkrótce potem zmarł).

Nie wiem, jak moje powodzenie odbierał János. Raz zwrócił mi uwagę z zimną drwiną: „Popraw kapelusze, wyglądasz jak pajac!”, czym na długo zepsuł mi humor.

Tymczasem to wtedy promienieliśmy i byliśmy szczęśliwi po raz ostatni. W namiocie przyłączonego do Węgiei Siedmiogrodu ja byłam Siedmiogrodzianką otaczaną serdecznością i względami. On – poetą, pracownikiem pisma „Erdélyi Helikon” i wydawnictwa Szépmíves Céh. Przywieźliśmy do Budapesztu książki siedmiogrodzkich pisarzy.

\* István Nagy (1909–1976) – koloszwarski aktor i bon vivant.

\*\* Áron Tamási (1897–1966) – siedmiogrodzki pisarz znany z barwnych i skrzących się humorem opowieści o transylwańskiej wsi, szczególnie ze swojej trylogii o rezolutnym Seklerze Áblu. János Kemény (1903–1971) – węgierski pisarz arystokratycznego pochodzenia, założyciel stowarzyszenia pisarzy Erdélyi Helikon publikujących w czasopiśmie o tej samej nazwie. Miklós Bánffy (1873–1950) – hrabia, członek jednego z najważniejszych siedmiogrodzkich rodów arystokratycznych; polihistor, polityk, pisarz, autor słynnej *Trylogii siedmiogrodzkiej* [przyp. tłum.].